

KASZUBY

Dodatek regionalny „Gazety Kartuskiej” poświęcony sprawom Ziemi Kaszubskiej.

Nr. 2

Kartuzy, dnia 26 lutego 1938 r.

Rok 3

TREŚĆ:

Mgr KAZIMIERZ DĄBROWSKI: Kaszubi w 18-tą rocznicę powrotu na łono Macierzy. — Mgr ANDRZEJ BUKÓWSKI: Nieznane prace Hieronima Derdowskiego: Kilka godzin na polach Grunwaldzkich. — ALFRED SWIERKOSZ: Brzegiem Międzymorza (ciąg dalszy). — Krzywdzące Kaszubów uwagi. — Życie kulturalne Kaszub. — Przegląd wydawnictw.

Mgr Kazimierz Dąbrowski

Kaszubi w 18-tą rocznicę powrotu na łono Macierzy.

Z chaosu wszechświatowej zawieruchy wojennej powstała Polska wielka i potężna. Granice jej sięgają od niebotycznych Karpat aż po sine fale Bałtyku. Najcenniejszą perłą z wszystkich ziem, wchodzących w skład naszego państwa, jest bezsprzecznie najdalej na północ wysunięta niby na straży ziemia kaszubska, o skaliste brzegi której rozbijają się wzburzone bałwany morskie. W pamiętnym dniu 10 lutego 1920 r. błękitne wojska polskie stanęły nad morzem, a generał Haller przez rzucenie pierścienia w toń morską dokonał symbolicznego aktu wiecznego ślubu Polski z Bałtykiem.

W związku z tym radosnym wydarzeniem w naszych dziejach rodzi się mimo woli pytanie, komu przypisać tę zasługę, iż dziś dumnie powiewa polska bandera na naszych okrętach, głosząc światu potęgę Rzeczypospolitej. Chcąc sprawiedliwy wydać sąd, należy spojrzeć z nieco bliższej perspektywy na ludność, zamieszkującą kraj przepiękny, urozmaicony błękitami jezior, wstęgami rzek i wartkich potoków, wijących się wśród kwiecistych łąk i polan między pagórkami zdobnymi, to szachownicą pól uprawnych, to ścianami odwiecznych lasów, niby pomniki świadczące o wielkiej przeszłości Kaszub i Polski. Lud tych nadmorskich terenów, jak żaden inny zahartowany w walce o zachowanie duszy polskiej, bronił na przestrzeni wieków twardo i nieugięcie spuścizny swych zacnych przodków. Pomimo najokrutniejszych szykan nie przebiegających w środkach wrogów, a stosujących je z górą 300 lat — Kaszuba pozostał niezmieniony. Tak samo chwali Boga dziś, jak to czynił w czasach największego ucisku, tą samą posługuje się mową, co przedtem — słowem wyszedł z tych wiekowych bojów zwycięsko. Wobec powyższego faktu stajemy przed hipotezą, domagającą się wyjaśnienia tego pocieszającego zjawiska. Rozum nasz chciałby poznać owe drogi, jakimi kroczył lud na wybrzeżu aż przyozdobił swe czoło wawrzynem triumfu.

Główną opoką narodowości polskiej na Kaszubach była i jest religia katolicka, zakorzeniona głęboko w sercach tutejszego ludu. Księża nasi,

owi reprezentanci Kościoła, byli tymi, którzy zagrzewali ludność do obrony zagrożonej nacji. Podobnie jak w czasie potopu szwedzkiego z klasztoru Jasnogórskiego była łuna otuchy dla zwątpiałego w zwycięstwo rycerstwa naszego, tak samo w czasie wichrów i gromów z każdego kaszubskiego kościoła wiała nadzieja lepszego jutra dla męczenników sprawy polskiej. Kościół był niejako nauczycielem języka polskiego. Jego wpływ, wydający przepiękne owoce, rozciągał się zarówno na maluczkich jako też na dorosłych, na prostaczków i na inteligencję. Już bowiem ksiądz, przyjeżdżając do swych parafian z kołędą, egzaminował po polsku z pacierza dzieci w wieku przedszkolnym. Czasem dziecko musiało nawet przeczytać coś z elementarza lub z książeczki do nabożeństwa, albo nawet zaśpiewać kościelną piosenkę. A rozważając dalej, dzieci przecież chodziły na przygotowawczą naukę do Sakramentów św., gdzie językiem wykładowym był język ojczysty. Tam musiały koniecznie przyswoić sobie sztukę biegłego czytania w katechizmie, bo inaczej nie mogły być przyjęte. Gdyby tak w czasie nabożeństw przejrzeć wszystkie książki do modlitwy, to okazało by się jedno, że każdy przynosił tylko polskie książki. W kościele słyszało się również kazania polskie, mające bardzo wielkie znaczenie jeśli chodzi o sprawę uświadomienia narodowego. Lud bowiem, pozbawiony mowy w szkołach i urzędach, mógł jej jedynie słuchać w świątyni. Ważnym środkiem do dzwignięcia narodowości były także kościelne pieśni. Lud czuł wielkie przywiązanie do śpiewu, domagając się publicznie dla niego należnego miejsca. Stwierdzamy dobitnie ową tęsknotę ludu do piosenki na odbytych w roku 1877 wiecu katolickim w Sierakowicach, gdzie między innymi skarżono się, że nauczyciele w miejscowej szkole zmuszają dzieci do śpiewania niemieckich pieśni kościelnych. Jeszcze więcej wystąpił ten sentyment w tym roku na zebraniu „Ogniwa” w Gdańsku. Wedle słów, jakie zawarte są w sprawozdaniu, nastrój na sali przedstawiał się jak niżej: „A już najmocniej zatętniał duch polski w ludzie, kiedy zaśpiewaliśmy „W żłobie leży” i „Anioł pasterzom mówił”... Ta pieśń przywołuje nam na pamięć ziemię ukochaną rodzinną”. Zatem przyznać musimy, że Kościół katolicki był tą jedyną i najważniejszą szkołą ducha polskiego, gdy wokoło szalała germanizacja. On to stanowił

twierdzą nie do zdobycia, o którą w puch rozbijały się wszelkie choćby najgroźniejsze ataki wrogów.

Tak było nie tylko na Kaszubach. Analogiczny wypadek znajdujemy również u innych ciemionych narodów. Mam tu na myśli biedny naród serbsko-łużycki. Tam też Kościół i jego kapłani byli filarami narodowości serbskiej. Prawdziwość tego potwierdza fakt, iż parafie, w których odbywały się stale kazania w języku serbsko-łużyckim, nie uległy germanizacji. Natomiast inaczej ma się rzecz, jeśli chodzi o parafie pozbawione tej nauki kościelnej w języku ojczystym. Te rychło traciły poczucie swej przynależności słowiańskiej.

To samo potwierdza historyk czeski Klik (Czes. Czas. Hist. 1921 r. XXVII str 50), że wiara luterska Niemczyła ludność wiejską, propagując język i zwyczaje niemieckie — obce duchowi czeskiemu. Zresztą nie potrzebujemy wcale aż tak daleko sięgać. Przypatrzmy się naszym Kaszubom na Pomorzu nadodrzańskim, albo jeszcze bliżej w ziemi lęborskiej i bytowskiej — jak u nich z utratą wiary katolickiej poszła utrata narodowości polskiej. Przynajmniej to nawet protestant dr Lorentz. Wobec tego jasno dostrzegamy, jak ważnym czynnikiem, łączącym Kaszubów z Polską, był i jest katolicyzm. Trafnie wypowiadają to zdania „ludność kaszubska zachowała wiarę katolicką — wiarę „polską“ i polski język kościelny. Ta stara wiara polska, łącząca Kaszubów z całą katolicką Polską, utrzymała ich przy polskości i nie dopuściła do wynarodowienia“. Kościół więc wytwarzał najlepszą obronę narodową w przeszłości, on nie przestaje nią być i dzisiaj. Księża, jako ci wychowawcy narodu nie tylko w kościele spełniali zarazem rolę nauczycieli polskości, lecz nie przestali nimi być poza przybytkiem Pańskim. Żywo potwierdzają to nasze gazety pomorskie z czasów niewoli. W tych to pismach prawie w każdym numerze znajdujemy wzmiankę o uczestnictwie naszego duchowieństwa na niwie narodowej. Jako stróż polskości występują księża publicznie, przemawiając na wiecach katolickich, zwoływanych w sprawie przywrócenia języka polskiego w szkole, a szczególnie na lekcjach religii. Oni także zakładają kółka rolnicze i śpiewackie w celu pielęgnowania ducha polskiego, oni wreszcie zachęcają swych wiernych do wstępowania w szeregi powstańców styczniowych z roku 1863. Oni w czasie szalejącej walki kulturalnej swym przykładem pociągają innych do wytrwania na posterunku. Oni uczą potajemnie znajomości literatury i historii ojczystej i można śmiało powiedzieć, że nie ma żadnej akcji narodowej, gdziebyśmy nie dostrzegli czynnego zaangażowania się kleru. Czy jednak dziś już po odzyskaniu niepodległości potrafimy należycie ocenić zasługi Kościoła i kleru około sprawy polskiej? Czy zawsze oddawaliśmy naszemu duchowieństwu należny szacunek i uznanie za tę patriotyczną działalność w czasach, gdy brzęczały kajdany niewoli? Niech czytelnik sobie sam odpowie. Podniosę tylko jeden moment, że w interesie obronności państwa zależy, aby nasz stosunek do duchowieństwa był jak najpoprawniejszy i abyśmy w nim jak w czasie niewoli tak i teraz mieli prawdziwych stróżów polskości. Z powyższego nasuwają się w trosce o pomysłność państwa jeszcze inne postulaty. Doszedłszy do przekonania, iż wiara nasza na Kaszubach stanowi niejako mur polskości, a współpraca z nią wytworzy niby skałę granitową naszej egzy-

stencji — należałoby postawić konieczny warunek, aby przedstawiciele władz na wybrzeżu i Kaszubach byli naprawdę katolikami i co najważniejsze, szczerze praktykującymi, bo tylko tacy mogą pozyskać serca Kaszubów i przez tę harmonię wytworzoną pracować skutecznie nad pomnożeniem chwały Rzeczypospolitej.

Przechodzę teraz do naszkicowania krótkiego poglądu ustosunkowania się ludu kaszubskiego do sprawy polskiej w okresie porozbiorowym. Nie chodzi mi tu o wykazywanie względnie udowadnianie czynnego patriotyzmu Kaszubów, bo to zakrawałoby na ironię, by dopiero teraz, po 18 latach odzyskania wolności, wysilać się na wyszukiwanie tych danych historycznych, stwierdzających dokumentnie ich polskość. Że Kaszubi byli i są Polakami nie tylko z meiryki, ale co ważniejsze — z czynu — o tym wie cały świat. Dość wspomnieć, iż sami zaborcy Niemcy uważali ich za takich, nazywając Kaszubów „Pollacken“. To samo głosił pruski minister oświaty w parlamencie w Berlinie, oburzając się tym, że Kaszubi nie chcą się uczyć języka niemieckiego na lekcjach religii, że niszczą niemieckie katechizmy i t. d. A zresztą pomijając wszystko inne, wystarczy zacytować sam fakt, że Kaszubi w Wersalu przez usta Abrahama sami dobrowolnie domagali się złączenia z Macierzą.

Temu zwycięskiemu pochodowi Kaszubów towarzyszyła owa przeze mnie już wspomniana zgodna współpraca ludu z Kościołem oraz z jego przedstawicielami, to jest klerem. Bez tego związku trudno było by sobie wyobrazić jakikolwiek pozytywny wynik owych zacieklej zapasów świata słowiańskiego ze światem germańskim. Ta właśnie harmonia tych dwu czynników spowodowała, że na całym wybrzeżu triumfował duch polski. Rozrost życia narodowego nad morzem tętnił na wszystkich odcinkach, czy to w strukturze społecznej, czy politycznej. I tu i tam spotyka się jeden rys wspólny, to jest dumę narodową i ambicję ludu kaszubskiego, której obcą była uległość. Rzecz znamienita, iż rząd pruski przez stosowanie swojej polityki wynaradawiającej kręcił bicz na samego siebie. Albowiem przez swoje szyskany niejako dorzucał do paleniska iskierek, które odruchowo zamieniały się w wielki lont gorzący żywym płomieniem umiłowania swojszczyzny. Taką publiczną manifestacją uczuć polskich były wybory do parlamentu niemieckiego w latach 1870—1914, w których 15 razy wybierano 11 tylko swoich rodaków. Dla orientacji podam wynik wyborów z roku 1877. Według urzędowego oświadczenia landrata Vormbauma z Wejherowa, w dwu powiatach, tj. wejherowskim i kartuskim, oddano ogółem 17.155 głosów. Z tego otrzymał kandydat polski, Zygmunt Działowski z Mgowy aż 13.068, podczas gdy jego przeciwnik Pieper, rodem ze Smażyna — tylko 3814 głosów.

Również wielce charakterystyczne dla nieugiętej duszy kaszubskiej są słowa, wypowiedziane przez Drzymałę kaszubskiego, Peplińskiego. Gdy mu władze odmówiły pobudowania mieszkania na własnym zagonie, odrzekł ze spokojem: „Ciej Pon Bóg wnetka nie zmieni, to me i dłużej wetrzymome“. Takich przykładów znalazło by się wiele a wiele więcej. W uznaniu zasług, położonych przez ludność wybrzeża około wytrwania na straży polskiego morza, powiedział pan prezydent: „wśród najwięcej zasłużonych w sprawie od-

zyskania morza dla Polski pierwsze miejsce zajmując piastowcy lud kaszubski“.

Czy jednak wspomnienia z męczeńskiej przeszłości Kaszub znajdują zawsze i wszędzie przychylną aprobatę? Z przykrością trzeba zaznaczyć, że są na Kaszubach jednostki spośród elementu napływowego, które podnoszenie zasług skromnego ludu kaszubskiego nazywają „wychwalaniem“. Podobne rzeczy dzieją się na kresach tuż nad granicą. Czy to nie jest szkodliwym dla interesów Państwa? Przecież poszczególny obywatel w paśmie granicznym powinien znać dokładnie dzieje swego skrawka ziemi, by móc każdej chwili wszelkim atakom na swoją narodowość dać należyta odpawę słowem, a w razie potrzeby czynem, a cóż dopiero ci, którzy stoją na czele. Każdy mieszkaniec kresów musi jasno zdawać sobie sprawę z tego, że nie jest Polakiem od dziś, lecz z ojca i pradziada siedzi na swym zagonie i jak od wieków służyli Ojczyźnie ojcowie, tak samo czynią to synowie.

Cześć i chwała dzielnemu ludowi kaszubskiemu!

Mgr Andrzej Bukowski

Nieznane prace Hieronima Derdowskiego.

Opowiadanie „Kilka godzin na polach Grunwaldzkich“ wydrukowane zostało w „Gazecie Toruńskiej“ r. 1877, nr. 29-31 (z d. 7, 8 i 9 lutego). Zawiera ono kilka ciekawych wiadomości biograficznych o Derdowskim. Raz po raz przebłyska w ciągu opowiadania swoisty humor autora. Całość odznacza się dużymi walorami czysto literackimi.

Objaśnienia oznaczone gwiazdką pochodzą od autora.

Kilka godzin na polach Grunwaldzkich.

Napisał Hieronim z Kaszub.

Nie masz miejscowości na całej polskiej ziemi, która by była więcej pamiętną w dziejach naszych, jak Grunwald, wieś położona w zachodniej części Mazurów pruskich w powiecie Ostródzkim. Tutaj to w srogiej bitwie, stoczonej d. 15 lipca 1410 r., rozstrzygnął się los nie tylko Polski i Słowiańszczyzny, ale wszystkich państw wschodniej Europy. W wojsku polskim były reprezentowane wszystkie głównejsze narody wschodu, jako to Polacy, Czesi, Rusini, Litwini i Tatarzy, a po stronie Krzyżaków walczyli nie tylko sami Niemcy, lecz ochotnicy z wszystkich główniejszych państw, na zachód Polski mieszkających. Gdyby ośmdziesiąt tysięcy armia krzyżacka odniosła była zwycięstwo nad wojskami nieprzyjacielskimi, niezwłocznie cała Polska i Litwa byłyby zostały zalane Niemcami, a z czasem i reszcie krajów Europy wschodniej zagrażałby ten sam los. Ale Władysław Jagiełło zdołał odeprzeć to tak ogromne niebezpieczeństwo waleczną swą armią, złożoną ze stu tysięcy mężnych wojowników: w jednym dniu złamaną została potęga Krzyżaków na zawsze, a mistrz ich Ulryk Jungingen zuchwałstwo swoje własnym przypłacił życiem.

Widziałem na własne oczy pole bitwy pod Grunwaldem i nigdy pojąć nie zdołałem, jak się

mogli wdać Krzyżacy, opierający swą potęgę głównie na ciężkiej konnicy, w walkę z wojskiem polskim, którego główna siła spoczywała w piechocie i w lekkiej jeździe, na terytorium takim, jak jest Grunwaldzkie. Całe pole, jak daleko tylko okiem zasięgnąć można, jest pagórkowate, głębokimi parowami poprzerywane, a gęstymi obasypane kamieniami. Lasy i bagna ciągną się z małymi tylko przerwami na wszystkie okolice świata. W pierwszym spotkaniu obydwóch armii, które miało miejsce pod Tannenbergiem, gdzie jest pole bardziej równe i otwarte, Krzyżacy byli górą i parli naszych o całą milę drogi w tył aż pod Grunwald. Ale tu przyjęły ich świeże chorągwie polskie, wypadłszy z nienacka z lasów, leżących pod Dąbrównem (Gilgenburg) i okropną zadały im klęskę; na samem pobojowisku poległo ich 50 tysięcy.

Grunwald jest dzisiaj małą wioską, mizernie zabudowaną chałupami i zamieszkałą przez biednych gospodarzy, których gleba piaszczysta i bagnista ledwie wyżywić zdoła. W jednym końcu wsi znajduje się mały folwarczek, własność obywatela niemieckiego. Przybywszy tam w celu zwiedzenia pobojowiska, spodziewałem się znaleźć jakie widoczne ślady bitwy, jakie okopy lub inne pamiątki, ale nie napotkałem niczego, oprócz licznych mogił gęstym zarosłych chwastem, wszędzie na Mazurach spotykanych. Gdzieś tam tylko zdawał się świadczyć czerwony piasek o krwawej rozprawie, jaka się tu kiedyś odbyła. Słyszac atoli od wieśniaków, że ćwierć mili od wsi, ku Tannenbergowi, znajduje się pomnik na tem samem miejscu, gdzie jak mi powiadali, poległ król polski, nająłem przewodnika i kazałem się tam prowadzić. W drodze zapytałem się tegoż, czy nie słyszał o jakich szczegółach walki, stoczonej w okolicach jego wsi rodzinnej. Poczem on mi po swojemu zaczął opisywać nie tylko cały przebieg bitwy, ale całą wojnę polsko-krzyżacką. Powiadał, że król Jagiełło za namową szatana (!) przyszedł z poganami w zamiarze wygubienia wiary chrześcijańskiej (tj. luterskiej, której nota bene wtedy jeszcze nie było na świecie), ale że wielki mistrz chrześcijański Ulryk go pogromił i zabił. Opisywał mi dalej różne okrucieństwa, jakich się dopuszczali poganie, a mianowicie, że po zdobyciu Dąbrówny żywcem wszystkich ludzi razem z zamkiem spalili. To ostatnie może być prawdą, boć z pewnością Tatarzy nie żartowali, a nadto sam tego dnia przed dwiema godzinami byłem w Dąbrównie i widziałem zamek tamtejszy, który rzeczywiście nie może być starszy nad czterysta lat, bo mury i wieże jego, w kwadratowych formach bez wszelkiego stylu zbudowane, tak są jeszcze mocne, że w nich bezpiecznie ludzie mieszkają; dzisiejszy został niezawodnie na miejsce spalonego zbudowany.

Z opowiadania mego przewodnika można się przekonać, jak dalece się wieść o dziejach historycznych zmienić może, przechodząc z ust jednego pokolenia na drugie, a przez każde według własnych przeistaczana zapatrywać; ale wykazuje się ztąd zarazem, że na tej drodze i niezmienną prawdą może się przechować. Że mój przewodnik miał swoje wieści o bitwie pod Grunwaldem z tradycji, o tem nie trzeba wątpić, bo najprzód sam mi powiedział, że to, co mi mówi, słyszał z ust swego dziadka, a potem też ten lud wogóle za-

dnych gazet ani książek z powieściami nie czyta. Podróżując raz z ciekawości dwa tygodnie po Mazurach, a mając za pośrednictwem moich kolegów szkolnych (z gimnazjum w Olsztynku)¹⁾ przystęp do domów zamożnych gospodarzy w różnych okolicach, nigdzie nie napotkałem żadnych pism ani polskich, ani niemieckich, a z książek tylko polskie biblie, kancjonały i kalendarze, gotyckimi drukowane literami. Wychodzi tam wprawdzie w mieście Lecu (Lötsen) Gazeta Lecka, ale między ludem wiejskim jej nikt nie czyta; trafiałem ją tylko u pastorów. Być może, iż dlatego jej nie czytają, że zanadto kłamię przeciwko katolikom, których nazywa papieżnikami; a podobne kłamstwa nie są tak bardzo na ucho Mazurom, którzy czują wyższość wiary katolickiej nad wiarą luterańską. Byłem raz świadkiem sceny w jednym kościele, gdzie lud wśród kazania tłumnie zaczął się wynosić z przyczyny, że pastor z ambony niestworzone rzeczy wygadywał na Piusa IX z powodu, że odważył się ogłosić nieomylnym, tak iż w końcu zacny kaznodzieja prawie do samych gołych ścian przemawiał, walcząc rękoma z powietrzem, jak błędny rycerz z wiatrakami. Możeby i Mazurzy czytali jaką gazetę, ale takowa musiałaby być ozdobiona ryciną, przedstawiającą luterańskiego pastora z biblią w ręku i nosić jakie święte dla nich imię np. „Chrześcijanin“. Ta nazwa trafiałaby najlepiej w myśl ogółu, bo żaden Mazur nie zowie siebie samego inaczej, jak chrześcianinem, co oznacza zarazem wiarę i narodowość. Wszelką inną tytułaturę jak „Polak“, „Mazur“, „Ewangielik“ czuje się w pewnym rodzaju urażonym; najbardziej zaś się gniewa, jeżeli go kto nazwie luterańskim albo Niemcem. Marzę zawsze o tem, że się kiedyś na Mazurach pojawi podobne pismo polskie, aby rozbudzać między ciemnymi wieśniakami oświatę i samowiedzę polsko-narodową. Ale trzebaby koniecznie w pierwszych początkach w imię wiary przemawiać do tego ludu, inaczej najszlachetniejsze zamiary nie dałyby się wykonać.

Ależ ja miałem opisać grobowiec wielkiego mistrza krzyżackiego Ulryka Jungingen; boć nie kto inny, jak on mógł być mniemanym w owym rzekomym królu polskim. Przyszedłszy z przewodnikiem moim do małego lasku, położonego na górze, ujrzałem wśród skarłowaciałych chojen wielki kamień, czarnemi nastrzępiony plamami i szarym obrosły mchem. Przystąpiłem bliżej i przekonałem się, że ma dwa sążnie długości, sążeń szerokości, i że powierzchnia jego wznosi się na pięć stóp nad poziom pola. Nigdzie nie mogłem spostrzedz żadnych liter, ani herbów, ale przewodnik powiedział mi, iż były niegdyś napisy na dole, które atoli obecnie zakryte są ziemią, dlatego że kamień skutkiem własnego ciężaru coraz bardziej zapada. Nie miałem z sobą narzędzi do kopania, bo hym się był przekonał, czy rzeczywiście tak jest, a zresztą było to wśród zimy, i przekopywanie zmarzniętej gleby byłoby kosztowało wiele pracy. Do koła kamienia rosły krzewy jałowcowe, a nad nim schylały się długie gałęzie kilku chojen, którym natura sama nadała postać płaczących wierzb.

¹⁾ Wynika z tej wzmianki, że Derdowski w swej wędrówce po różnych gimnazjach zawitał także do Olsztynka. Na razie nie mamy skądinąd potwierdzenia tej wiadomości, ale jest ona tym więcej prawdopodobna, że Olsztynkiem położony jest niedaleko Kazanica, gdzie proboszczem był ks. Derdowski, stryj opiekujący się Heronimem.

Jakiś święty dreszcz przechodził członki moje, gdy zadumany patrzyłem na ten kamień. Stałem na tem samem miejscu, gdzie przed niemal pięćmi wiekami stąpały stopy polskich rycerzy, rozpaczliwie walcząc za niepodległość ojczyzny. Stanęli przed oczyma dowódcy naszych zwycięskich wojsk, przypatrujący się zwłokom największego wroga swego. Widziałem dumne oblicze wodza Zyndrama, groźną postać W. księcia Witolda i Izawę oko króla Jagiełły, już to bujające po szerokim pobojuwisku, zlanem krwią tylu walecznych wojowników, już to spoglądające na martwe zwłoki wielkiego mistrza, który, pewien zwycięstwa, przed kilku godzinami przysłał był dwa miecze do obozu polskiego, aby się mieli czem bronić panujący nad Polską i Litwą. Przypomniały mi się owe smętne słowa Niemcewicza:

„Król patrząc na tak ciężką losów zmianę,
Zapłakał rzewnie; zgon, rzekł, tego męża
Zagadza pamięć na krzywdy zadane,
Winien czcic męstwo ten, który zwycięża.
Niech ten, co walczył i męźnie i długo,
Ostatnią będzie uczczony posługą!“ —

Podumawszy tak cokolwiek o tragicznych chwilach przeszłości, siadłem na gromadce kamieni, w pobliżu leżących, a wyjąwszy pugilares, zacząłem w nim rysować szkic pamiątkowego dla nas nagrobka wraz z otoczeniem jego. Cichy wieńczyk, rzadko tylko gwałtowniejszym przerywany dęciem, wiał przez iglice wiekiem pogarbionych chojen. Zdawało mi się, jakoby w szumie jego słyszał i pienia nabożne hymnu „Boga Rodzica“ i głośnie rozkazy wodzów polskich, szczerk oręża, huk kotłów, drżenie ziemi, gnącej się pod ciężkimi kopytami i jęki ginących pod srogimi ciosy nieprzyjaciół. Drobne płatki śniegu spadały na grobowiec, a topiąc się na nim, spływały niby rzęsiste łzy po oczerniałych wiekiem żyłach na zwiedłą murawę. Kilka kruków, jedyni żyjący stróż rycerskich zwłok przelatując tu i owdzie z jednego drzewa na drugie, szerzyło czasem po pustym gaju szmer silniejszy od przewiewu wiatru, a żalosne ich krakanie ponuro powtarzało echo.

Przypatrzwszy się po zdjęciu rysunku memu przewodnikowi, który spokojnie stał o drzewo oparty, spostrzegłem łzy w oczach jego; a gdy mnie go zapytał o przyczynę smutku, rzekł, że płacze nad srogim losem króla, który, daleko od swoich, wśród obcej ziemi zbyt wczesną znalazł śmierć. I mnie wtedy zrobiło się krucho na sercu, bo poznałem dobre i czułe serce tego ludu, okazujące uczucie litości nawet dla mniemanego nieprzyjaciela i jakieś tajemnicze przywiązanie do Polaków, do tych samych Polaków, których mu przedstawiają krzewiciele oświaty niemieckiej jako największych nieprzyjaciół jego niepodległości i wiary. Usiłowałem przekonać go, że poległ na tem miejscu rycerz nie był królem polskim, lecz naczelnym dowódcą Niemców, którzy zawsze Mazurów i wszystkich Polaków nienawidzili, ale on pozostał przy swoim, a mnie nie pozostawało nic więcej, jak pocieszyć się słowami mędrca starożytności, że przeciwko nierozsądkowi sami bogowie nadaremnie walczyli.

Grobowiec Ulryka Jungingen włościanie grunwalcy muszą mieć w wielkiem poważaniu, bo gaj, który się znajduje wśródokoła pooranej roli, stał nienaruszony. Wieś swoją, jak się później dowiedziałem, sami nazywają Wygrywał-

dem (w skróceniu Grywałdem), a to dlatego, że król tam bitwę wygrał. Grunwald jest według ich mniemania nazwiskiem później dopiero nadanym przez Niemców.

Już się miało ku obiadowi, gdyśmy wracali do Grunwaldu. Po drodze przybyliśmy na wysoką górę, z której ujrzelśmy w dali gęsty las, spadający z wyżyn w głęboką dolinę. Wskazując nań palcem, powiedział mi mój przewodnik, że tam mieszka stara wróżka, znana w całej okolicy pod imieniem Magdy, która już za życia jest świętą i posiada dlatego dar jasnowidzenia. Zaciekawiony tem orzeczeniem, kazałem się prowadzić do jej pomieszkania. Zeszliśmy zupełnie z toru, aby sobie skrócić drogę i kroczyliśmy przez bagno zawiane tu i owdzie śniegiem. Trzeba było stąpać po chaosie topieli, kęp i kamieni a podróż stawała się coraz bardziej uciążliwą, w miarę jak zbliżaliśmy się do lasu. Przebywszy strumyk, jeszcze nie zamarznięty, na którym w poprzek położona chójka służyła za most, dostaliśmy się w gęstwinę. Tu trzeba było za każdym krokiem sobie drogę torować, rozpychając gałęzie młodych olsz, dębów i buków. Kilka wron i srok, lęących już to przed nami, już to w tyle nas, towarzyszyło nam nieustannie w pielgrzymce do owej tajemniczej kobiety. Nareszcie zaczęło się rozwidniać w lesie i dało się słyszeć w pobliżu szczekanie psa.

Naraz spostrzegłem w romantycznym położeniu nad stawem niską, na pół spróchniałą chatkę, przylegającą do długiego rzędu białych brzóz. Szczyt jej był wydarty, a wiatr zewsząd przewiewał przez dziurawy dach. Z prawego boku przypierała do niej mała przystawka, a odzywający się z tamtąd kwik prosięcia zdradzał jej przeznaczenie. Przed drzwiami stała długa drabka, która oparta na słomianym dachu, sięgała wysoko po za szeroki, czarny komin. Przybita nad drzwiami sowa, z skrzydłami szeroko rozpostartymi, zdradzała, że tu jest pomieszkание myśliwego.

— Tu wejdźcie paniczku — rzekł mój przewodnik — tu mieszka owa Magda u swego siostrzeńca Jakóba Wejny, który jest borowym; zasię trzeba stukać do drzwi, to oni otworzą. Kuby widać nienra w domu, bo skoroby był słyszał szczekanie psa, byłby nam wyszedł na przeciwko.

Jakoż zaraz zaczął szamotać klamką.

— Kto tam kołace? — dał się po chwili słyszeć głos niewieści z zewnątrz.

— To ja, Frycz*) — rzekł mój przewodnik. — Przyprowadziłem jednego pana, który ma interes do Magdy; otwórzcie więc!

Wkrótce okazał łoskot za drzwiami, że zasuwka odsunięta; otworzyła się najprzód górna, a potem dolna ich połowa i ukazała się niła postać dziesięcioletniego dziewczęcia, które przez chwilę badającem okiem na nas patrzyło; a poznawszy we mnie obcego, szybko znikła napowrót. Przystąpiwszy dwa wysokie progi, znaleźliśmy się w niskiej izdebce, której przyjemne ciepło mile nas uderzyło. Przy piecu postawionym obok kominka, stało kilkoro czerstwo i zdrowo wyglądających dzieci, wpatrujących się w nas z szeroko otwartymi buziami. Na przeciwko drzwi siedziała w krosnach młoda czarnooka kobieta, gospodyni domu, przechylając się właśnie ku wałowi, aby związać przerwana nić. Zaraz obok drzwi stała beczka z wodą, a cokolwiek dalej szafa z talerza-

mi. Przy prawej stronie ściany znajdowały się dwie w kwiaty pomalowane skrzynie, a przy lewej stało łóżko, nad którym wisiały dwie strzelby i kordelas; obok był zawieszony wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela.

— Daj Boże dobre południe*) — rzekłem, zasuwając za sobą drzwi izdebki.

— Witamy do nas przyjaciele! — mile odezwała się gospodyni z krosen, nie spuszczaając oczu z wału. Po krótkim atoli milczeniu wejrziała na nas i rzekła

— Zkąd Pan Bóg prowadzi? Czy to nie ten pan z Niborka, co to skradzionych pieniędzy szuka?

— Nie, moja pani gospodyni — rzekłem — ja przybywam aż z Kaszub²⁾, aby zwiedzić drogą dla nas Polaków okolicę waszą; a ponieważ mój przewodnik mi powiedział, iż tu mieszka sławna prorokini, przeto radbym z nią pomówił.

— Babuś znajdują się w tej ano komorce — rzekła, wskazując na niskie, dymem okopcone drzwi — wolno każdego czasu wejść.

Mała dziewczynka otworzyła natychmiast drzwi i wpuściła mnie. Dziwny widok przedstawił się mym oczom. Na niskim stołku o trzech nogach siedziała stara niewiasta z pomarszczoną wiekiem twarzą, a siwe jej włosy w nieładzie spadały po ramionach. Ubiór jej tworzyła długa czarna suknia krojem zakonnym. W lewej ręce trzymała biblią, spoczywającą na łonie, a prawą opierała o stół, na którym po obu stronach krucyfiksu leżały dwie trupie głowy. Koło jej nóg znajdował się duży żelazny rondel z żarzącymi węglami, szerzącymi po całej komórcie odurzającą woń gazów. To wszystko nadawało całemu otoczeniu jakiś czarodziejski urok. Zdawało się zrazu, że mnie wcale nie spostrzegła staruszka, bo oko jej bez wyrazu spoczywało na przeciwległej ścianie, gdzie pyłem zakurzone wisiały obrazy Doktora Lutra i Filipa Melanchtona. Ale podniósłszy się, błędem spojrzała na mnie okiem i chrapliwym głosem przemówiła te słowa:

— Chceszli wiedzieć grzeszna duszo, co przeznaczone dla ciebie w księdze przyszłości?

Uderzony cokolwiek takowem zapytaniem, rzekłem, że rzeczywiście mojem życzeniem jest poznać z ust jej swoją przyszłość, ale że tylko wtedy dam wiarę jej słowom, jeżeli mi wprzód przyszedł mi powie. Wystrofowawszy mnie łagodnie za niedowiarstwo, ku wielkiemu memu zdziwieniu zaczęła mi opowiadać najsmutniejsze sceny życia mojego, których krwawe ślady najgłębiej się wryły w serce i w pamięć, a nawet znała dokładnie wszystkie szczegóły jednego romansu, który miałem we Włoszech, a z którego w naszych stronach jeszcze nikomu się nie wypowiadałem³⁾.

Nigdy nie wierzyłem dotąd ani w czary, ani w wróżby, ale jedna chwila zachwiała mną, budząc przypuszczenie, że rzeczywiście istnieje związek między śmiertelnymi ludźmi, a duchami, i że są osoby, jasno widzące i rzeczy przeszłe, których

*) Zwykle pozdrowienie w porze obiadowej, przez Mazurów używane.

²⁾ Wigilię Bożego Narodzenia 1876 roku Derdowski spędza „w polskim dworze nad Bałtykiem“; zwiedzanie pól grunwaldzkich przypada w styczniu 1877 r., jak wynika z daty ogłoszenia tej pracy.

³⁾ Mamy tu jedyne ze strony Derdowskiego potwierdzenie wiadomości o pobycie jego we Włoszech.

*) Używane u Mazurów skrócenia imienia Fryderyk.

nie były świadkami, i przyszłe, które oczom zwykłego człowieka czarna okrywa zasłona.

Z ufnością więc prosiłem o odsłonięcie przyszłości. Wahala się początkowo staruszka, aż wreszcie w kilku ciemnych słowach objawiła mi przyszłość moją smutną wprawdzie i nie wiele obiecującą, ale czegoż się może spodziewać młodzieniec, który nie pamięta ani pieczęci matki, ani uśmiechu ojca, ale w dzieciństwie jeszcze wieku oddany pod obcą opiekę⁴⁾, odtąd od ludzi nie czujących nad nim obronnego ramienia rodzicielskiego, samych tylko doznawał poniewierań — który pędzony niepowstrzymaną żądzą wiedzy, próżno szukał środków do zaspokojenia tejże — który nosząc idealne zapatrywania w stęsknionej piersi, nigdzie się nie mógł pogodzić z zimnym, jak kamień materializmem świata, dopóki o własnych siłach nie zaczął pracować nad torowaniem sobie drogi do niezależnego stanowiska w społeczeństwie.

Ale jeżeli smutna przeszłość tego młodzieńca wywołała uczucie litości w sercu łaskawej czytelniczki, lub łaskawego czytelnika, wtedy niech ich to przynajmniej pocieszy, że i on według słów prorokini Magdy w bliskim już czasie własną będzie miał lepiankę, w której znajdzie serce tak kochające, jak je sam w sobie czuje — serce, które mu sownie wróci i opiekę matki i życzliwość siostry, które go mile ogrzewać będzie ogniem miłości... reszta sekret. —

Poznawszy w ten sposób swą przyszłość, przypomniałem sobie biedną ojczyznę naszą i postanowiłem zapytać wróżki, jaka przyszłość czeka Polskę.

Nabrawszy otuchy, odezwałem się w te słowa: Niewiasto, która widzisz jawnie i to co było i to co będzie, raczże mi wyprorokować, bądźli Polska kiedyś napowrót wolną i niepodległą, czyli też wiecznie jęczeć będzie pod jarzmem nieprzyjaciół?

Staruszka zrazu nic nie odpowiedziała; lecz, spojrzawszy tylko żałośnie na mnie, zaczęła szeptać jakieś niezrozumiałe słowa. Po chwili wysoko wyciągnęła ręce, a wzniósłszy oczy w górę rzekła:

Wielki Boże! Sroga jest ręka Twoja nad ludem Twoim i niezbadana jest Twa wola.

Poczem spuściła ręce, a wyciągnawszy je ku mnie i odwróciwszy twarz, na której się malował wyraz nabożnego zachwycenia, ku prawej stronie.

— Swawolny młodzieńcze — rzekła — czemuż nierozważnie otwierasz skrzynię dziejów świata, której strzeże Anioł u stopni tronu Stwórcy wszechmocnego?

Po krótkim milczeniu, wśród którego ręce jej wyciągnięte konwulsyjnie drgały, dodała:

— Będzie, będzie Polska — skoro wśród jasnego dnia księżyc i gwiazdy zaświecą nad Grunwaldem. Już bliskie widzę spełnienie... Ale biada nam i wam! — biada... Dużo ucierpi wiara nasza, a ptak biały smutnie zwiesi zranione skrzydło, które mu się wygoi dopiero po wieku.

Wyrzekłszy te słowa, siadła na przeciwko owego stołu, na którym były dwie trupie głowy i krucyfiks, włożyła na oczy okulary, a rozłożywszy biblię głośno zaczęła czytać psalm XXVIII — Królu niebieski, zdrowie duszy mojej.

⁴⁾ Chodzi tu zapewne o opiekę stryja ks. Derłowskiego z Kazanicy.

Chciałem jej zapłacić za fatygę i to hojnie, bo wielka nędza przebijała wszędzie w jej pomieszkaniu, ale staruszka usłyszawszy brzęk monety, ręką i głową dała znak, że nic nie przyjmie a nawet gdy wychodząc z komórki zwykłą formułką pożegnalną polecał ją Panu Bogu, obojętnem tylko skinieniem głowy podziękowała. Pieniądze więc dla niej przeznaczone rozdzieliłem pomiędzy czworo jej wnucząt, co im niezmierną sprawiło radość. Zapytałem się przy tej sposobności każdego z osobna, jak mu imię. Odebrałem odpowiedź, iż najstarszej córeczce, która to nam najprzód drzwi otworzyła, było imię Augusta, jej młodszemu bratu Wilhelm, a dwom najmniejszym chłopczykom Jaś i Franuś. A gdy wyraziłem matce, która wyszła była tymczasem z krosen, zadziwienie moje, czemu dwoje najstarszych nosi imiona niemieckie, odpowiedziała w swoim narzeczu mazurskiem:

— Abo ze to niemieckie? Cy to pan nie wie (wie), że naszy pani królowy też na imię Augusta, a nasemu panu królowi Wilhelm? Nas pan król to ze nie Niemiec, ale chrześcianin, jak i my; on ze jest niezgorszy człowiek i broni naszy święty wiary od nieprzyjaciół naszych.

— Sancta simplicitas — pomyślałem sobie i wyszedłem z przewodnikiem moim, odprowadzony przez gospodynię aż za próg chatki.

Szliśmy na powrót ku Grunwaldowi. W drodze zapytałem się Frycza o niektóre szczegóły dotyczące się rodziny borowego Kuby. On mi powiedział, że są to ludzie bardzo bogobojni i w całej okolicy szacowani; ale dodał zarazem, że są biedni, bo im Niemiec, którego lasu Kuba strzeże, mało daje zasługi. Opowiedział mi dalej całe curriculum vitae Magdy, którego treść następująca: „Magda była przed trzydziestu laty żoną organisty Kazanickiego; ale gdy ten utopił się idąc raz przez słabo zamrażnięte jezioro, z zalu i boleści po mężu w ciężką popadła chorobę. Odzyskawszy zdrowie, przeprowadziła się do swego siostrzeńca i odtąd już się więcej nie troszczy o ten świat, lecz cały dzień przepędza na modlitwie i pobożnych rozmyślaniach; a ponieważ każdemu wywróżyć potrafi i już dużo ludzi z niebezpiecznych wyleczyła chorób, nigdy nic od nikogo za to nie biorąc, przeto ją cała okolica ma za świętą. Posiada też dar mówienia w chwilach zachwycenia wszystkimi językami, chociaż nigdy żadnych wyższych szkół nie zwiedzała“.

Wszystko to oddalało ode mnie tem bardziej wszelkie podejrzenia; a głęboko przekonany prawdą tego, co mi z przeszłości mojej powiedziała, ta polska Pitija, mocno uwierzyłem, że Polska wkrótce zmartwychwstanie. Nie chciało mi się tylko w głowie pomieścić, co by mogły oznaczać owe gwiazdy, ale to mi się wydawało jasnem, że księżyc oznacza Turcyę. W owem rannem skrzydle zaś wyobrażałem sobie część nieszczęśliwej ojczyzny naszej pod zaborem pruskim zostającą.

Wśród takich dumań przebyłem las, a przeskoczywszy jeszcze kilka pagórków, na powrót stanąłem w Grunwaldzie. Zamierzałem się jeszcze udać do Tannenbergu, gdzie mają być w tamtejszej kaplicy wiejskiej rozmaite pamiątki po bitwie grunwaldzkiej, a mianowicie hełm i miecz krzyżacki i kilka napisów na kamiennych płytach; ale nagle porwał się wielki wichur, połączony z kurzawą, tak iż niepodobna było myśleć o dal-

szej podróży, a nazajutrz już musiałem dążyć na Michałowską, dokąd mnie pilny wołał interes.

Nie zdoławszy więc w owych kilku godzinach, które przepędziłem na polach Gruwaldzkich, ściślej zbadać pamiątek bitwy tam stoczonej, zwracam na nie uwagę polskich historyków i archeologów, a mianowicie polecam odkopanie grobowca mistrza krzyżackiego i zbadanie kaplicy w Tannenbergu. Mogą się tam znajdować jakie ważne napisy lub inne pamiątki, o odkrycie których Niemcy bynajmniej troszczyć się nie będą; owszem radziby oni zniszczyć wszystko, co im przypomina haniebną klęskę Grunwaldzką, zadana ich przodkom przez zwycięski oręż polski.

Alfred Świerkosz

Brzegiem Międzymorza.

Zarys monograficzny osad półwyspu Helskiego.

(Ciąg dalszy).

[15]

Zwroty mowy i przysłowia.

Rybacy od wieków nad morzem osiadli, wypowiedzieli przede wszystkim swój stosunek do wody w przysłowiach, niekiedy bardzo głębokich i subtelnych. Garść ich podaję:

1. Chto na moerzu nie bywał, ten dziwouw nie uejrzał. 2. E kto sę modlic nie umie, naucy sę, niech tylko w morscim bądźże szumie. 3. Z morza padania, starech bab tańcowania, nima wustania. 4. Rebom woeda, a ledzom zgodoe. 5. Chto szepce, ten mó djobła w krzepce (w grzbiecie). 6. Wiesele w róż, a bieda wjedno. 7. Żdżele grówa, aż urosce trówa (czekaj krowa, aż urośnie trawa). 8. Któ zna moerze, wie co goerze. Komu modlitwa nie smakuje, niech po moerzu bieże³⁷⁾.

Ze zwrotów używanych w potocznej mowie notuję: Jak sę miewosz? Jak groch prze drodze. A Maryczyn Józef, a Maryczyne klóscze (klóski). Sedzy kukla poed paklepiem. Żelazo weżóleło sę.

Nazwy chorób.

Rybacy choroby wszelkie, na jakie — w gruncie rzeczy rzadko zapadają — określają w różny sposób i tak: jeżeli ktoś jest chory na suchoty, mówią o nim, że jest derowaty, lub że choruje na derę, jeżeli ma dreszcze mówią, że cierpi na zimę. Zgon każdego w podeszłym wieku starca nie uważają za zgon naturalny ze starości, lecz przypisują mu chorobę, zazwyczaj suchoty. I o ile zapyta się mieszkańca półwyspu, na co dany rybak lub rybaczka zmarła — otrzymuje się odpowiedź, że na suchoty, choć przekroczył niejednokrotnie nieboszczyk już lat 80 a nawet i więcej. Zażegnywanie chorób i ran jest tu w powszechnym użytku przy pomocy wymawiania różnych mniej lub więcej zrozumiałych formułek, połączonych z robieniem znaków krzyża i wzywaniem imienia Bożego. Ciekawą jest formułka pozbycia się po jedzeniu zgagi:

Poeszła zgaga do moerza,
Natrafiła Grzegoerza
Grzegórz sę zwrócel
Zgaga sę nie zwrócela,
Boedaj sę rozpęczela!³⁸⁾

Do leczenia poszczególnych chorób najczęściej używają mieszkańcy półwyspu własnych leków w postaci ziół i tłuszców. Rumianek i ziele matczyne ma największe wzięcie. Na kołtun zaś moerzebob, t. j. widłak babimur, zwany również morzybaba (naukowa nazwa *Lycopodium* L. Widłak babimór rośnie w 6 gatunkach w Polsce w lasach suchych sosnowych, oraz na wrzosi-wiskach. Spory tworzą żółty proszek, który ma różnorodne zastosowanie w oficjalnej medycynie). Środek ten Kaszubi używają też w wypadkach, gdy podejrzewają, że choroba pochodzi z czarów.

Zabobony.

Mieszkańcy półwyspu nie są na ogół zabobonni, krążą jednak wśród starszego pokolenia różne niesamowite wersje na temat duchów, krośnięt (tak nazywają karzelki), zmor (istoty, o których nikt dokładnie nic nie wie), czarownic itp. O krośniętach opowiadają, że mieszkają w domach lub cmentarzach i że są to stworzenia na ogół przychylnie człowiekowi, o ile ich się czymś nie zrazi lub krzywdy nie wyrządzi. Krośnięta czas spędzają na wydmach albo w chatkach rybackich pod kominkiem. Ubierają się w wytarte ubranka, białe koszulki i czerwone czapeczki. Lubią pomagać ludziom w pracach domowych; podczas długich nocy zimowych sporządzają sieci i inne sprzęty rybackie, zapewniają swoją obecnością rybakom obfite połowy, zaopatrują dobytek, przyrządzają upominki, zbierają lecznicze zioła. W zamian jednak za to żądają dla siebie bezwzględnej życzliwości i wypełnienia następujących warunków: zezwolenia zbierania im wraz z gospodynią śmietany, dzielenia się każdym kąskiem strawy, nie wylewania waru lub pomyj w pobliżu pieca, co mogłoby im szkodzić. Chatę rybaka opuszczają i stają się mściwe i złośliwe tylko wówczas, gdy zobaczą w potrawach włos lub gdy usłyszą, że gospodarz, znając ich ubóstwo, zapowiada, że sprawi im nowe ubranie.

Zmory nazywane również zmoera lub moera łączą z czarownicami i przeważa mniemanie, że są to kobiety, które przeistaczają się w nocy na zmorę, trapiące w czasie snu człowieka. Jako środek pozbycia się zmory podają Kaszubi, że należy drogę do łóżka zagrodzić drewnianym pantoflem (zwanym tu koercze) i to przodem ku łóżku. Można również wziąć ze lnu „tę szczec“ (paździoły) i położyć sobie na piersi, bo „tedy zmoera uchwacysz“, gdyby to nie pomogło i zmoera nadal trapiła, należy wziąć do łóżka jabłko i natychmiast, gdy zmoera zacznie dusić, odgryźć, a ogryzek rzucić na ziemię, to wówczas rano zobaczy się na podłodze leżącą z odgryzionym ciałem kobietę. Dobrze jest również wyjąć ze siennika żdźbło słomy, rozerwać je i rzucić, a na drugi dzień zobaczy się rozerwaną niewiastę. O ile to wszystko nie pomoże to należy wziąć dwa „fleszersczy“ (rzeźnickie) noże i włożyć je pod poduszkę, „to zmoera mo strach i nie przyndze“. Niesamowite te istoty można również łatwo oszukać przez wzięcie do łóżka brzozywych gałązek i postawienie jednego pantofla, „to łena mesli, że te w łóżku nie je“. Najlepiej jednak chwycić cokolwiek na co się w ciemnościach natrafi i starać się to rozerwać, a następnie w ciemnościach włożyć pod naczynię do góry dnem przewrócone, a na drugi dzień ujrzy się zmorę i pozna, bo jechać będzie na kole koka, t. j. kołowrotka. (Ciąg dalszy nastąpi).

³⁷⁾ Świerkosz Alfred: Z wybrzeża polskiego. Puck 1930 r.

³⁸⁾ Dr Nadmorski (Łęgowski): Kaszuby i Kociewie. Po- znań 1892 r.

Krzywdzące Kaszubów uwagi.

Przyzwyczajaliśmy się już do tego, że nas Pomorzanom sobie lekceważono, że nam nie dowierzano, że nie przyznawano nam „odpowiednich” kwalifikacji do zajmowania stanowisk wyższych.

Dotąd jednakże cieszył się rolnik pomorski i rybak kaszubski na ogół co do fachowości opinią dobrą.

Ale doczekali się i nasi rybacy kaszubszy oceny „odpowiedniej”, bo oto w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” pewien korespondent zamieścił o nich między innymi takie uwagi:

„Każdorazowe raporty kapitanów-Holendrów, którzy dowodzą polskimi ługrami, stwierdzają, że członkowie załóg Kaszubi nie nadają się do tego rodzaju pracy na morzu (mowa tam o połowach dalekomorskich), są powolni i nie wytrzymali w przeciwieństwie do rybaków polskich, pochodzących z głębi Polski.

Rybak kaszubski jest bowiem od wieków przyzwyczajony do połowów przybrzeżnych i nie lubi oddalać się od swej checzy, Maryśki i kościoła”.

Nagonka na rybaków kaszubskich wcale dobrze skonstruowana, bo przecież powołuje się na raporty kapitanów-Holendrów.

Jak zdołaliśmy stwierdzić, kapitanowie holenderscy nigdy takiego zarzutu nie wysuwali przeciwko rybakom kaszubskim. Cała zatem rzecz jest od początku do końca zmyślona.

Wartość tej nagonki charakteryzuje jednakże dostatecznie zestawienie „Maryśki” i „kościola”, które też wygląda na niepo czytane kpiny.

Hart ducha i ciała obok zaprawy rybackiej od dziecka, to zalety naszych rybaków-Kaszubów jednakże zbyt są znane i uznawane, że marki ich te uwagi IKC. zepsuć chyba nie zdołają.

A że obok tego są głęboko religijni, to wartość ich tylko podnosi tak jako ludzi i obywateli, jak i jako rybaków.

Życie kulturalne Kaszub.

Pamięci dra Majkowskiego.

Konfraternia Artystów w Toruniu poświęciła ostatni wieczór czwartkowy pamięci świeżo zmarłego pisarza kaszubskiego śp. dra Majkowskiego. Referaty o działalności społeczno-politycznej i dorobku kulturalno-literackim zmarłego wygłosili pp. mgr K. Krefft i A. Bukowski.

Ulica dra Majkowskiego w Kartuzach.

Rada Miejska w Kartuzach, pragnąc utrwalić pamięć śp. dra Aleksandra Majkowskiego, nazwała jego imieniem ulicę, przy której zmarły pisarz kaszubski zamieszkiwał od chwili sprowadzenia się do Kartuz.

Uchwała powyższa zapadła w dniu pogrzebu śp. dra Majkowskiego.

Inauguracyjne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Gdyni.

Dnia 30 stycznia odbyło się w auli Szkoły Morskiej w Gdyni inauguracyjne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Gdyni.

Zebranie zagał prezes Tow. p. J. Czarliński, podkreślając potrzebę istnienia takiej instytucji na Wybrzeżu, która stanie się ośrodkiem nauko-

wym i stolicą duchową Kaszub. Sekretarz Tow. mgr J. Bieniasz zapoznał zebranych z zadaniami Towarzystwa i programem studiów naukowych. Doskonały referat o kryzysie kultury duchowej wygłosił znany uczony pomorski ks. dr F. Sawicki z Pelplina.

Uroczystość inauguracyjna zgromadziła licznych przedstawicieli sfer kulturalnych i naukowych, oraz przedstawicieli władz, urzędów, wojska, instytucji gospodarczych i społeczeństwa. Polska Akademia Umiejętności przysłała specjalnego delegata w osobie prof. Tymienieckiego z Poznania.

18-ta rocznica odzyskania morza.

Z okazji 18-tej rocznicy odzyskania dostępu do morza, przypadającej w dniu 10 lutego, odbyły się w całym kraju uroczyste obchody.

Szczególnie uroczystości obchodzono rocznicę odzyskania morza w Gdyni oraz na Wybrzeżu i Kaszubach.

Wręczenie nagrody naukowej miasta Gdyni.

Na uroczystym posiedzeniu gdyńskiej Rady Miejskiej w dniu 10 lutego odbyło się wręczenie nagród artystyczno-naukowych miasta Gdyni im. Stefana Żeromskiego pierwszym jej zdobywcom: Instytutowi Bałtyckiemu (za rok 1937) i profesorowi Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie drowi Adamowi Szelańskowskiemu (za rok 1938).

Wręczenia nagród, przyznanych za całokształt pracy naukowej w dziedzinie badania dziejowych zagadnień bałtyckich, dokonał komisarz rządu, Sokół.

„Wesele na Kaszubach” — nowy utwór sceniczny.

Nauczyciel Paweł Szeffe z Wejherowa napisał nową sztukę regionalną p. t. „Wesele na Kaszubach”.

Sztuka, wystawiona po raz pierwszy na scenie w Wejherowie, spotkała się z wielkim uznaniem i przychylnym przyjęciem ze strony krytyki.

Nauczyciele polscy z ziemi złotowskiej w Chojnicach.

W Chojnicach bawiła w dniach 12 i 13 lutego wycieczka 34 nauczycieli i nauczycielek polskich z ziemi złotowskiej za kordonem. Gości przyjmowano bardzo serdecznie.

Wystawa jubileuszowa Pomorskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

Z okazji 15-lecia istnienia Pomorskiej Szkoły Sztuk Pięknych prof. Szeblewskiego w Gdyni odbyła się w czasie od 12 do 26 grudnia ub. r. wystawa jubileuszowa prac uczniów Szkoły.

Szkoła Sztuk Pięknych w Gdyni bardzo gorliwie krzewi regionalizm pomorsko-kaszubski.

Przegląd wydawnictw.

Dwutygodnik regionalny.

W Wejherowie rozpoczęło wychodzić czasopismo regionalne p. t. „Kleka”. Ma ono na celu podtrzymywanie i pielęgnowanie obyczajów i tradycji kaszubskich. Ukazuje się dwa razy w miesiącu.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Bieliński w Kartuzach, ul. Dworcowa 7.

Czcionkami drukarni „Gazety Kartuskiej” (J. Bielińskiego) w Kartuzach.